



Andrzej Tokarczyk

NA MIARĘ KRAWCA CZY FIDIASZA?

W świadomości przeciętnego Polaka utwierdziło się już przekonanie, że najkrótszą i najbardziej realną drogą do własnego mieszkania jest droga spółdzielcza. W ostatnim roku bieżącej pięciolatki więcej niż co drugie budowane w mieście mieszkanie będzie mieszkaniem spółdzielczym. W minionym dziesięcioleciu do mieszkań spółdzielczych wprowadziło się 150 tys. rodzin czyli tyle, co w całym okresie międzywojennym plus pierwsze powojenne dziesięciolecie. W całym kraju mamy obecnie 400 tys. członków i około 300 tys. kandydatów do spółdzielni. A zapisy i rejestracja trwają dalej... A więc w sumie co najmniej milion rodzin w Polsce — zarówno tych, które już mieszkają, jak i tych, które dopiero gromadzą swe wkłady mieszkaniowe i czekają z wyęsknieniem na klucz, jest żywotnie zainteresowanych w prawidłowym rozwoju i funkcjonowaniu największego inwestora mieszkań w naszym kraju.

Ale ogromna przewaga popytu nad podażą mieszkań jest pierwszą i najważniejszą przeszkodą na drodze przekształcenia naszej spółdzielczości w masowego, sprawnie działającego inwestora i dysponenta setek tysięcy mieszkań. Liczne są sygnały, że instytucja ta nabiera cech — jak to mówią jej klienci — „płatnego kwaterunku”.

Kot w worku

Weźmy dla przykładu szeroko reklamowany wpływ przyszłego spółdzielcy na układ i rozplanowanie jego mieszkania. Poza nielicznymi wyjątkami wpływ ten równa się

w praktyce — przynajmniej jak dotychczas — zeru. A tymczasem nawet w granicach obowiązującego metrażu można byłoby zaprojektować kilka typowych wariantów rozplanowania wnętrza, pokazać je kandydatom na członków spółdzielni i pozwolić im wybrać najodpowiedniejszy dla siebie i rodziny.

Jedni wolą ściankę działową wzdłuż, inni — w poprzek. Jedni chcą mieć większą kuchnię, a za to mniejszą łazienkę, drudzy — odwrotnie. De gustibus non est disputandum... Skoro wszystkie warianty zmieszczą się w danym metrażu i w przyjętych kosztach bu-

ludzkich spraw trzeba wypowiedzieć bezwzględnie walkę.

Wielkość — jakość — standard wyposażenia

Sporo skarg ze strony osób zainteresowanych dotyczy również wielkości budowanych mieszkań, jakości ich wykonania oraz standardu wyposażenia. W tej dziedzinie spółdzielczość ma wprowadzić częściowo związane ręce, bo w dobre przewagi popytu nad podażą na pewno nie możemy sobie pozwolić na wznoszenie mieszkań luksusowych. Ale jeżeli średnia wielkość spółdzielczego mieszkania wybudowanego w tym roku w kraju jest niższa od średniej wielkości mieszkania „kwaterekowego”, to można to uznać jedynie za półście po linii najmniejszego oporu.

Jeżeli buduje się w spółdzielczych blokach ciemne, bezokienne kuchnie, to chyba nie czyni się tego pod przymusem. Gdy niedbalstwo wykonawców, żeby nie powiedzieć niechlujstwo, osiąga szczyty szczytów właśnie pod spółdzielczym dachem nad głową, ludzie mają prawo się oburzać i pytać „dlaczego”? A jeżeli większość kandydatów do spółdzielni domaga się wyższego standardu wyposażenia, ponieważ zdaje sobie sprawę z tego, że mieszkania, za które trzeba samemu płacić, nie kupuje się co rok należy to również w jakiś sposób uwzględnić.

I wreszcie — niesprawdzone projekty, nie wypróbowane eksperymenty. Spółdzielcy nie chcą być „królikami doświadczalnymi” projektantów nowych technologii. Mają prawo do zamieszkania w domach zbudowanych dobrze, solidnie i pewnie. Mają również prawo do mieszkań dla rodzin tzw. rozwojowych, z którego nie zawsze mogą skorzystać. Nie wszystkie zarządy spółdzielni i administracje domów spółdzielczych wykazują pod tym względem należyte zrozumienie.

Nikt nie żąda od spółdzielczości, aby wypinała dziś dumnie pierś skrojoną na miarę Fidiasza. Nie pora po temu. Niech będzie na miarę zwykłego krawca. Ale krawca solidnego i poważnego.

Mieczysław Skąpski

PENETRACJA PRZECIĘTNOŚCI

Są tacy, co twierdzą, że literatura nie może się zajmować ludźmi normalnymi, zwykłymi, przeciętnymi. Ciekawe, godne artystycznej penetracji, jak i czytelniczego zainteresowania jest tylko to, co osobliwe, nienormalne, niezwykle itd. Michniak jak gdyby przekornie ustawił się przeciw takim postawom. Jego ostatnie opowiadania* traktują wyłącznie o prostych skromnych ludziach bez perspektyw, o ich codziennych, drobnych radościach czy smutkach, przy czym bardziej interesują autora te ostatnie.

Mały tomik zawiera zaskakującą różnorodność tematów. Jest tu o dziecku z rozbitego małżeństwa („Mały”), zagubionym, samotnym w obcym świecie, w jakimś sensie psychicznie kalekim; o żywocie bez perspektyw pracownika z wyższym wykształceniem, który chroni się w doświadczeniach przystani po codziennej ucieczce z zakładu pracy, gdzie go nie doceniają („Siekane kotlety”); o nie doceniają („Siekane kotlety”); o trudnych sprawach stosunków między ludźmi w zakładzie przemysłowym, niesprawiedliwym przydziale pracy („Lajkonik”); o nierównoprawności dzieci w klasie szkolnej w zależności od pozycji społecznej rodziców („Zosia i Gosia”), o przegranej w wyborach człowieka przyzwyczajonego do kierowania („Śmierć prezesa”). Potem znowu po-

jawia się bojaźliwy, roztrzęsiony nerwowiec, taki sobie przeciętniak drżący o swoje stanowisko („Myśli jak chorągiewki”), małżeństwo rozdarte alkoholizmem bądź różnicami światopoglądowymi — widziane oczami dzieci („Duża, twarda czekolada”), problem rzekomo „obcej klasowo”, wobec której ma się stare zobowiązania, a której dziś nie można w niczym pomóc („Mgła”), wreszcie problem odwagi działacza — agitatora w ciężkich latach dywersji mikołajczykowskiej („Już ciemno”).

Prawdziwe bogactwo problemów, jak na tak mały tomik. Michniak mógł je zmieścić, bowiem jego opowiadania są króciutkie, niekiedy parustronicowe. Oczywiście ta szerokość pola obserwacji godna jest uznania. Natomiast przesadna zwężność czasami szkodzi w osiągnięciu pełnego wyrazu artystycznego, tego wyrazu, który budzi wzruszenie czytelnika przejęcie się losami bohatera literackiego. Tak pełny efekt osiąga Michniak w „Małym”, a przede wszystkim w „Śmierci prezesa”, które jest chyba najlepszym opowia-

daniem tomiku. Skrótowno pokazany przebieg wyborów, w których prezes spółdzielni sromotnie przegrywa i musi odejść, on, który od lat przywykł do kierowania, dyrygowania, gabinetu, sekretarki, samochodu, on, który się starał i teraz nie wiadomo, właściwie dlaczego... — ten opis jest prawdziwym majstersztykiem.

Niestety inne opowiadania nie są tak dobre. W niektórych eksperymenty formalne prowadzą autora na manowce niezrozumiałstwa („Lajkonik”, „Już ciemno”). Rażą przesadne metafory („nienawidzi zastrzyków jak kolonizatorów”). Bywa, że główny problem opowiadania rozplątuje się, jak się to dzieje w „Dużej, twardej czekoladzie”, gdzie autor ciekawie rozpoczął rysować jakże u nas istotny problem różnic światopoglądowych rodziców i jego odbicie w ewiercie drogi i zajął się sprawą intymnego współżycia rodziców.

Wydaje się jednak, że mimo to tomik stanowi postęp w rozwoju pisarstwa autora, widać rozszerzenie się pola jego penetracji pisarskiej.

Antoni Badoń

„Świadeństwo moralności” dr. Horsta Schumanna

... mają prawo do za-
mieszkania w do-
mach zbudowanych
dobrze, solidnie
pewnie...

Fot. CAF

Kilkanaście dni temu prasę światową obiegła wieść o wydaniu przez rząd ghański organom zachodniemieckiego wymiaru sprawiedliwości zbrodniarza hitlerowskiego, lekarza obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dr. Horsta Schumanna. Po raz pierwszy jego nazwisko pojawiło się podczas procesów przeciwko ludobójcom na przełomie lat 1946/47. Wdrożono nawet akcję poszukiwawczą, bez rezultatów. Ale o tym później...

Przypomnijmy kim był dr Horst Schumann i jaka ciąży na nim odpowiedzialność: Urodził się w Halle nad Saalą w 1906 roku. W mieście tym w 1933 roku, w roku dojścia do władzy hitleryzmu, otrzymał dyplom lekarski. Świeżo upieczony doktor Schumann związał swą karierę zawodową z armią. Przywdział mundur lekarza Luftwaffe. Wkrótce zwrócił na siebie uwagę przełożonych jako zdeklarowany i fanatyczny hitlerowiec. W październiku 1939 roku Hitler podpisuje rozporządzenie o stosowaniu eutanazji. Wśród tuzina lekarzy, którzy otrzymali upoważnienie decydowania o życiu ludzkim, znajdujemy również nazwisko dr. Horsta Schumanna.

Krematorium w górach Alb

„T4” — to kryptonim akcji eutanazyjnej. Prowadzono ją przy pomocy trzech organizacji maskujących o niewinnie brzmiących nazwach: „Państwowa Wspólnota Pracy Zakładów Zdrowia i Opieki” — placówka, która wyszukiwała chorych, „Fundacja Użyteczności Publicznej na rzecz Opieki Zakładowej” — zabezpieczała stronę finansową zaś „Towarzystwo Użyteczności Publicznej — dla celów Transportu Chorych z ograniczoną odpowiedzialnością” — przewoziło do miejsc kaźni skazanych przez lekarzy na śmierć pacjentów.

Ponad sto ważnych dokumentów jakie się zachowały, oraz liczne zeznania pozwalały przynajmniej w przybliżeniu ocenić rozmiary tej akcji. Ustalić sposoby jej przeprowadzania. Wśród archiwaliów znajduje się również zeznanie pielęgniarzki Kneissler, złożone na procesie norymberskim, oznaczone jako dokument „NO-470”.

Cytujemy fragment protokołu: „...Pojechaliśmy autobusem do zamku w Grafeneck, gdzie przyjął nas kierownik tego zakładu, DR SCHUMANN. Pracę zaczęliśmy dopiero w marcu 1940 roku, lecz personel męski pracował tam już wcześniej... Chorzy, których przywieźliśmy, nie zawsze byli w ciężkim stanie, byli to oczywiście chorzy psychicznie, lecz bardzo często w dobrym stanie fizycznym. Każdy transport składał się z ok. 70 osób, a mieliśmy tego rodzaju transporty niemal codziennie... Po przybyciu chorych do Grafeneck umieszczono ich w tamtejszych barakach, gdzie byli powierzani badani... przez dr. Schumanna i dr. Baumgardta. Obaj ci lekarze wydawali ostateczną decyzję, czy pacjent miał być zagazowany czy nie...”

Przed wysłaniem ofiar do komory gazowej wstrzykiwano im morfinę. Iniekcji dokonywali lekarze; m. in. osobiście dr. Schumann.

Thusty, czarny dym z krematorium w Grafeneck zasnuł góską okolicę. Rósł niepokój wśród miejscowej ludności. Zaczęto się powoli domyślać metody lekarskiej dr. Schumanna

W związku z tym w grudniu 1940 r. Himmler wystosował list do Wiktora Bracka, w którym czytamy:

„Jak słyszę w górach Alb panuje duże poruszenie z powodu zakładu w Grafeneck. Ludność zna szary samochód SS i snuje domysły na temat tego co dzieje się w stale dymiącym krematorium...”

Nastroje są tam jak najgorsze i moim zdaniem nie pozostaje nic innego jak zaprzestać używania zakładu w tej okolicy...”

Skompromitowaną placówkę wkrótce zwinięto. Dr Horst Schumann — jako specjalista — objął kierownictwo następnego zakładu śmierci — szpitala psychiatrycznego w Sonnenstein. Morduje nadal.

W roku 1941 akcja eutanazji zostaje poszerzona. Nowe zbrodnicze przedsięwzięcie zaszyfrowano pod kryptonimem „Sonderbehandlung 14 f 13”. Do obozów zagłady w Dachau, Sachsenhausen, Neuengamme, Niederhagen, Buchenwald, Mauthausen, Flossenberga, Gross Rosen i Oświęcim wysłane zostały pisma okólne zapowiadające przybycie lekarzy specjalistów, którzy w ramach akcji eutanazyjnej przeprowadzą sekcję więźniów.

Lekarzem, który miał „obsłużyć” Oświęcim był dr Schumann. 28 lipca 1941 roku dokonał pierwszej selekcji. 575 więźniów na jego polecenie znalazło śmierć w komorach gazowych w Königsstein.

Promienie śmierci

Od dłuższego czasu trudzono się w resorcie Himmlera nad wynalezieniem skutecznej i taniej metody wyniszczania całych narodów. Miała nią być masowa sterylizacja za pomocą napromieniowania silną dawką promieni rentgenowskich.

Ponieważ ambicją dr. Schumanna była również „praca naukowa”, zgłasza Reichsführerowi SS swoją gotowość przeprowadzenia odpowiednich „eksperymentów”.

Wkrótce w bloku nr 10 w Oświęcimiu — Brzezince zamontowana została odpowiednia aparatura. Dr Schumann przystępuje do dzieła.

Pierwszymi ofiarami zwyrodniałego lekarza jest grupa greckich dziewcząt w wieku od 14 do 18 lat. W miesiąc po napromieniowaniu dziewczęta zostają dla kontroli poddane zabiegowi operacyjnemu. Czas niemieckiego lekarza — naukowca jest drogi. Operację przeprowadza się w tempie maratonu. W ciągu jednej godziny posekjonowanych zostaje 10 dziewcząt. Wspomni o tym Schumann w swoim raporcie do Himmlera, chętnie się, że zabieg trwa jedynie 7 minut.

Raz jeszcze pozwólmym przemówić dokumentom. Oto zeznanie więźnia, który zetknął się z Schumannem występującym w roli naukowca:

„...W tydzień później znowu wybrano 20 Żydów w wieku 20—24 lat. Ale tym razem wybierano ich w porządku alfabetycznym. Ja byłem zaraz na początku. Zostaliśmy przetransportowani do Brzezinki, do obozu kobiecego. Tam zjawili się wysocy lekarz w szarym mundurze lotniczym. Musieliśmy się rozebrać, po czym narządy płciowe umieszczono pod aparatem (rentgenowski — przyp. aut.) i trzymano tam przez 15 minut... Po 2 tygodniach, mniej więcej w październiku 1943 roku, przeprowadzono 7 mężczyzn z naszej grupy do obozu Oświęcim... do szpitala na bloku 20. Tam nas operowano... Kierownikiem tych doświadczeń był dr Schumann...”

Ilu więźniów padło ofiarą zbrodniczych praktyk dr. Schumanna? Trudno ustalić. Dysponujemy bowiem w tym zakresie jedynie danymi wycinkowymi. Wiadomo na przykład, że tylko od 16 września do 15 grudnia 1943 roku dokonał m. in. 106 operacji kastracyjnych!

Morderca mieszka przy Uhlandstrasse 58...

Nazwisko Horsta Schumanna powtarzało się często w norymberskim procesie lekarzy. W związku z innym procesem — w Tybindze (gdzie rozpatrywano zbrodnie eutanazji), zostały przeciwko niemu podjęte kroki prawne. „Poszukiwania” okazały się jednak „bezwoczne”, uznano go za zaginionego, jakkolwiek na drzwiach komfortowego mieszkania w Gladbeck-Zweckal (NRF) przy Uhlandstrasse nr 58, wisiała wizytówka „HORST SCHUMANN — LEKARZ”. Morderca z Grafeneck i Oświęcimia nie widział nawet potrzeby zmiany nazwiska. Żyłby tam prawdopodobnie, zapomniany przez prawo NRF po dzień dzisiejszy, gdyby... sam się nie ujawnił niechcący w NRD.

Idąc za przykładem co zamężniejszych sąsiadów, Schumann pragnął wydzierżawić teren łowiecki. Potrzebne było świadectwo moralności. Tak oto sprawa trafiła obiegom do policji w Halle. Na szczęście Halle nad Saalą to już NRD. Zamiast żadanego dokumentu nadszedł więc z Halle nakaz ujęcia ludobójcy.

Tylko że Schumann mieszkał w NRF. Ostrzeżony „zwinął żagle” i z po-

Dokończenie na str. 2

* Czesław Michniak „Śmierć prezesa”. Opowiadania. Wydawnictwo Poznańskie 1986.

Pedagog - społecznik

Albina Wegenke — wieloletniego nauczyciela — romanistę, a zarazem niestrudzonego społecznika, sekretarza Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Szkoły Świeckiej (nagrodzonego ostatnio za całokształt działalności pedagogicznej nagrodą Rady Postępu Pedagogicznego) zastałam pochyloną nad dziennikiem odczytów, zorganizowanych przez TSS.

— Mała awaria — powiedział z troską w głosie. — Zachorował jeden z naszych wykładowców i muszę znaleźć zastępcę. A sprawa nie jest taka prosta, bo w Turkowskich Zakładach Przemysłu Jedwabniczego — tak jak w dziesiątkach innych zakładów pracy naszego województwa — prowadzimy odczyty systemem cyklicznym. Nie można więc zmieniać zapowiedzianego odczytu.

— A jaki to temat?
— Estetyka życia codziennego. Wychowanie estetyczne bowiem stało się od lat poważnym elementem naszej działalności oświatowej. Rozwijanie estetycznej uświadomości ludzi zbliża ich do sztuki, uczy właściwego jej wyboru, a sztuka — obok nauki, techniki i działalności społecznej człowieka — stanowi jeden z najważniejszych czynników wychowawczych. Prowadząc tę tematykę w środowisku dorosłych, przechodzimy jednocześnie w sukcesy szkolne, wprowadzającą przeciętne w życie założenia reformy szkolnictwa. Reforma zaś duży nacisk kładzie na wychowanie przez sztukę. Wydaje nam się, że przez dzieło sztuki możemy przetrwać (w styczniu 1967 r. obchodziliśmy 10-lecie Towarzystwa) zbliżyliśmy mocno rodziców do współczesnej, świeckiej szkoły. Potrafiliśmy w dużej mierze przekonać o wyższości wychowania opartego na rzetelnej wiedzy i społecznej uświadomości młodzieży oraz nakłonić do integracji poczynań wychowawczych domu i szkoły.

— Dziesięć lat to mały jubileusz. A jakie były początki pracy Towarzystwa?

— Rodowód ruchu społecznego na rzecz szkoły świeckiej jest dość, dość starszy od istnienia naszego Towarzystwa. Siega początkami czasów działalności Komisji Edukacji Narodowej. Poważna część nauczycielstwa w okresie międzywojennym była gorącymi zwolennikami szkoły laickiej i próbowała walczyć o jej urzeczywistnienie. Toteż założycielami TSS byli w naszym



Albin Wegenke

województwie — tak jak i w całym kraju — w większości właśnie pedagogów.

— Szkoła jest więc zapewne podstawowym terenem działania Towarzystwa?

— Byłoby to zacieśnieniem naszego oddziaływania. Szkoła była punktem wyjściowym. Pierwsze odczyty TSS odbywały się na terenie szkoły. Z czasem zaczęliśmy przechodzić z naszą działalnością również na teren zakładów pracy i instytucji oraz na wieś. Obecnie na 87 stacjach punktów odczytowych TSS w naszym województwie — 58 działa na terenie miast, 29 na wsi. Formą stała i mająca już swoje tradycje są Uniwersytety dla Rodziców, których prowadzimy obecnie 46. Poza tym takie formy pracy jak — jedyne w kraju Studium Kultury Życia dla dorastającej młodzieży, prowadzone wspólnie z II Kliniką Ginekologiczno-Położniczą AM, czy konferencje problemowe organizowane dla poszczególnych powiatów na temat roli rodziny jako środowiska wychowawczego oraz roli pracy w kształtowaniu postaw ideowo-moralnych — poszerzają rzeszę zwolenników laickiego wychowania i tolerancji religijnej.

— A jak idee Towarzystwa przyjmowane są na wsi?

— Nawet nie spodziewaliśmy się, że społeczeństwo wsi ma tak głębokie zainteresowanie dla naszej problematyki. O tym, że moralność laicka uważa się na wsi za coraz szerszych kręgach za moralność wyższą od religijnej, może najlepiej świadczyć wypowiedź jednego z dyskutantów zamieszkłego w PGR-ze powiatu kościańskiego. „Dla mnie człowiek świecki, to taki, który będąc wykształconym, jest jednocześnie wszystkim dostępnym i pomocnym”. Szacunek, jaki nasi działacze zyskali sobie w społeczeństwie — zarówno na wsi jak w mieście, jest chyba najlepszą nagrodą za naszą pracę. Jest to bowiem szacunek dla idei Towarzystwa. Idei, która w rezultacie ma się przyczynić do ukształtowania nowoczesnego człowieka.

(rozmawiała: az)

„Świadek moralności”

Dokończenie ze str. 1

moją rasistą, jako trymer węglowy, przedostał się na statku do Afryki. W roku 1959 w Chartumie przygotowywano już co prawda nakaz eks- tradycji zbrodniarza. Lecz i tym razem czuwał „alte Kameraden”. Schumann umknął do Nigerii, następnie osiedlił się w Ghanie. Otrzymał w buszu szpital i stanowisko lekarza okręgowego.

Teraz, po 20 latach, stanąć ma wreszcie przed sądem przysięgłych. Odpowiedzialny jest za wymordowanie przeszło 30 tys. ludzi, obywateli różnych krajów.

Kilkaset ofiar zostało zamordowanych przez niego własnoręcznie podczas zbrodniczych operacji i eksperymentów. Kilkaset innych w straszliwy sposób okaleczonych. Jaki będzie wyrok organów sprawiedliwości NRF?

ANTONI BADOŃ



CO DOBREGO WYBORCOM!

W artykule pod tym tytułem Władysław Machajek przedstawia na łamach „Życia Literackiego” swoje refleksje w związku z debatą sejmową nad planem rozwoju naszej gospodarki na lata 1966—70. Najistotniejszą pozycję tego planu stanowi inwestycje. Z nimi to łączą państwo i wyborcy znaczne nadzieje. Wszakże to, co zatwierdził Sejm, jest dopiero planem.

„Konstrukcja piękna, — pisze Machajek — jeszcze raz chwalebna. Ale podziwiać będziemy dopiero wykonanie. Doświadczenia uczą nas bowiem, że najlepszy politycy i działacze konstruują dobre w zasadzie plany, ale nie oni wykonują inwestycje. Inwestycje wykonują przedsiębiorstwa budowlane (...). Słowo PLAN staje się cudowne dla prostego człowieka dopiero po przeistoczeniu go w ciało dokonane. Mamy warunki po temu”.

Inaczej mówiąc wyborcy otrzymują dobry plan, ale o tym, jakie skut-

ki on przyniesie, zadecydują właśnie wyborcy — my, wszyscy.

CZY NIE ZA DUŻO CZASU
NIEPRODUKCYJNEGO!

Halina Czekay omawia na łamach „Życia Gospodarczego” wyniki badań, przeprowadzonych w trzech zakładach pracy, nad źródłami rezerwy czasu pracy oraz przyczynami strat czasu pracy. Okazało się, że w badanych zakładach nieprodukcyjny czas pracy stanowi od 19 do 31 procent. Jest to wynik wielu przyczyn. Z jednej strony — zdaniem autorki — możliwe i realne jest ograniczenie absencji chorobowej przez poprawę bezpieczeństwa i higieny pracy, co leży w kompetencji poszczególnych zakładów pracy. Z drugiej strony — istotnym źródłem rezerwy pracy może być zaniżone tempo wykonywania czynności przy gotowawczo-zakończonych przyjmowaniu niższych wartości parametrów od założonych, niewykorzystanie możliwości wykonywania niektórych czynności podczas pracy. Najważniejszym źródłem rezerwy czasu pracy są więc niedostatki w organizacji pracy.

DROGA DO NAJLEPSZYCH WYNIKÓW

„Od czasu istnienia Polski Ludowej nigdy nie mieliśmy tylu zakładów przemysłowych i takiej liczby zatrudnio-

Koniec roku wystawowego upływa w Poznaniu pod znakiem dużych ekspozycji zagranicznych. Obecnie obie galerie poznańskiego „Arsenału” zajmuje duża, oficjalna wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki słowackiej, a w początkach grudnia te same galerie gościć będą prace 16 młodych malarzy i grafików moskiewskich. Wystawa słowacka, eksponowana już w Polsce na XIX Sopotkim Festiwalu Sztuk Plastycznych ma ambicje zaznajomienia polskiego widza z najciekawszymi zjawiskami dokonującymi się w młodej sztuce słowackiej. Pokaz ten nie jest jednak w pełni reprezentatywny dla całokształtu współczesnej plastyki słowackiej. Wyekspozowani na nim zostali przede wszystkim malarze, graficy i rzeźbiarze młodzi, nowocześni; zabrakło twórców starszych na przykład Ludwita Fulli, Martina Benka, Wainerta Krala, którzy nadal specyficznie piętno narodowe i ludowe plastyce słowackiej w jej zaraniu.

Plastyka w Słowacji jest sztuką młodą. Dopiero od niedawna rozwija się szybko i pełnie. Dopiero od niedawna Bratislava ma wyższą szkołę artystyczną, a sztuka nie służy tylko do preferowania ludowości i patriotyzmu. Plastycy słowaccy mają obecnie dobre warunki do startu — wiele dobrze zorganizowanych galerii, stosunkowo duże kontakty zagraniczne. Młodzi malarze i graficy weszli dzięki temu dość szybko na europejskie rynki, ale przychodzi im za to płacić czasem ceną pewnego naśladownictwa i wtórnego nadążania za Paryżem.

Oryginalny pomysł podjęło Wydawnictwo Literackie, publikując słynne nie tyle z bezpośredniej znajomości, ile z przyszłowiejszej opinii „Nowe Ateny” x. Benedykta Chmielowskiego, w wyborze, opracowaniu i z przedmową Jana Józefa Lipskiego, z ilustracjami Szymona Kobylińskiego. Wybór to tegi, choć ani się równa objętością czterotomowej encyklopedii wydanej około połowy XVIII wieku, cytowanej zazwyczaj jako szczególne curiosum, zbiór poglądów kontynuujących średniowieczne widzenie świata. Lipski nie negując naiwności i żalostnej śmieszności tej pierwszej właściwie encyklopedii polskiej kaže nam jednak, spojrzeć na autora także innymi oczyma, jak na człowieka na swój czas i na swój sposób światłego, odczytanego, z własną koncepcją świata i z osobliwym wyczuciem piękna. Na pewno jest jego dzieło wytworem czasu, na pewno jest także i nadal osobliwością swojego rodzaju. Dziś można już na „Nowe Ateny” patrzeć inaczej, uśmiechać się, bawić osobliwą fantazją autora, wdziękiem stylu, kiwać głową nad poszczególnymi partiami tego jedynego w swoim rodzaju dokumentu epoki.

A teraz przyjemna wiadomość dla entuzjastów Stanisława Wyspiańskiego i zbieraczy poszczególnych tomów jego „Dzieł zebranych”, trochę marudnie choć z pietetyzmem wydawanych przez oficynę krakowską. Ukazał się tom ostatni, czternasty, zawierający „Pisma Prozą. Juwenalia”, a więc artykuły, pisma przygodne, młodzieńcze próby wierszowane, noty o sztuce, nieco listów, plany i spisy. Do tomu dołączona jest

WYŻ LUDZI STARYCH

Co pewien czas publiczność czasopism sygnalizuje, że poprawa położenia ludzi starych jest zbyt powolna w stosunku do ogólnego rozwoju warunków bytowych pracujących części społeczeństwa. Obecnie po raz drugi w krótkim odstępie czasu podejmujemy ten temat „Tygodnik Kulturalny”. Kazimierz Kozub przypomina, że według prognoz przygotowanych przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów obecnie co ósmy Polak jest w tzw. wieku po-

Olgierd Błazewicz

MŁODA PLASTYKA SŁOWACKA

Na wystawie poznańskiej kilka spraw szczególnie rzuca się w oczy: dobry poziom ekspozycji graficznej, przy dość eklektycznym i obiegowym w swych jakościach zestawie prac malarzów oraz silniejsze niż w malarstwie i grafice związki ze starą tradycją ludową w ekspozycji rzeźbiarskiej.

Największą indywidualnością w grafice jest bezspornie Albin Brunowsky. Twórca ten szczególnie może podobać się właśnie w Polsce, cechuje go z gruntu ten sam emocjonalny nadrealizm, który jest jakimś sztandarowym walorem czołówki polskiej grafiki. Sztuka Brunowskiego jest wizjonerska i literacka, z szeroką, odważną, metaforyką społeczną. Interesujące, utrzymane w klimacie neofiguratywnego nadrealizmu prace pokazali też w Poznaniu Viera Gergelova i Jan Lebiš.

Z kręgu sztuki dekoracyjnej po abstrakcyjnego estetyzmu zwracają uwagę swą urodą malarską i efektownością płótna Rudolfa Fili, Viery Krajcovej oraz grafiki Mariana Cunderlika.

W ekspozycji rzeźbiarskiej możemy znaleźć najwięcej spraw kontrowersyjnych i oryginalnych. W pracach Ludwita Korkoša czy Jaroslawa Kocisa odżywają stare tradycje

drewnianej słowackiej rzeźby ludowej, połączone w integralną całość z dążeniami do daleko idących uproszczeń formalnych i odświeżeń. W oryginalnie pomyślanym i niezwykle silnie działającym na widza assemblażu Józefa Jankowicza „Świadek” sprawy te spotykają się jeszcze dodatkowo z interesującą metaforą nieszczęścia i obumierania.

Przed paroma tygodniami w korespondencji ze Słowacji pisałem o sprawach plastyki w ważniejszych ośrodkach słowackich. Zetknąłem się tam z wieloma malarzami, z kilkoma bardzo ciekawymi wystawami: malarstwa Martina Benka w galerii w Nitrze, Ludwita Fulli w Pradze, Wainerta Krala w Bratisławie, z wieloma interesującymi pracami słowackich grafików na brneńskiej biennale grafiki. Po tym co tam zobaczyłem, spodziewałem się, że wystawa plastyki słowackiej w Poznaniu będzie jeszcze bardziej interesująca i bogata w sensie różnorodności postaw artystycznych wystawców — tak charakterystycznych dla współczesnej sztuki słowackiej.

Galeria BWA i ZPAW w „Arsenale” (Stary Rynek) „Wystawa Malarstwa Grafiki i Rzeźby Plastyków Słowackich”, zorganizowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Związek Polskich Artystów Plastyków i Szwajcarskich Vytvarnych Umelcov.

Oryginalny pomysł podjęło Wydawnictwo Literackie, publikując słynne nie tyle z bezpośredniej znajomości, ile z przyszłowiejszej opinii „Nowe Ateny” x. Benedykta Chmielowskiego, w wyborze, opracowaniu i z przedmową Jana Józefa Lipskiego, z ilustracjami Szymona Kobylińskiego. Wybór to tegi, choć ani się równa objętością czterotomowej encyklopedii wydanej około połowy XVIII wieku, cytowanej zazwyczaj jako szczególne curiosum, zbiór poglądów kontynuujących średniowieczne widzenie świata. Lipski nie negując naiwności i żalostnej śmieszności tej pierwszej właściwie encyklopedii polskiej kaže nam jednak, spojrzeć na autora także innymi oczyma, jak na człowieka na swój czas i na swój sposób światłego, odczytanego, z własną koncepcją świata i z osobliwym wyczuciem piękna. Na pewno jest jego dzieło wytworem czasu, na pewno jest także i nadal osobliwością swojego rodzaju. Dziś można już na „Nowe Ateny” patrzeć inaczej, uśmiechać się, bawić osobliwą fantazją autora, wdziękiem stylu, kiwać głową nad poszczególnymi partiami tego jedynego w swoim rodzaju dokumentu epoki.

A teraz przyjemna wiadomość dla entuzjastów Stanisława Wyspiańskiego i zbieraczy poszczególnych tomów jego „Dzieł zebranych”, trochę marudnie choć z pietetyzmem wydawanych przez oficynę krakowską. Ukazał się tom ostatni, czternasty, zawierający „Pisma Prozą. Juwenalia”, a więc artykuły, pisma przygodne, młodzieńcze próby wierszowane, noty o sztuce, nieco listów, plany i spisy. Do tomu dołączona jest

Eugeniusz Paukszta

Od „Nowych Aten” po „Nową sztukę”

mierza Brandysa, bogatą i wciąż niezinterpretowaną w całości sztuką Mroka, a wreszcie bardzo własnym teatrem Tadeusza Różewicza. Autor analizuje, porównuje, bada, konkretyzując ciekawe wnioski, i jeżeli nawet z niektórymi nie byłoby tak łatwo się zgodzić, to zawsze jednak znie-
wala ją one do myślenia.

Adam Hollanek, to reporter, z pasją tropiący od wielu lat problemy nauki i jej twórców. Patrząc i słuchając, umie rozszerzać swe spostrzeżenia o sprawy ogólniejsze i wyciągać często zaskakujące wnioski. Obecnie wydany tom takich reportaży pt. „Lewo-
o cyklop”, to chyba najbardziej udana z dotychczasowych pozycji

Hollanka. W jakimże kręgu spraw nie pozostajemy, czytając te strony: od spraw jądrowych po świat kosmiczny, od zagadnień filozofii i socjologii po biologię w najszerszym pojęciu, od medycyny jutro po ogólne perspektywy przyszłości związane z rozwojem nauki.

Zgodnie z tytułem, dla przeciwwagi „encyklopedii” x. Benedykta Chmielowskiego, nieco o pracy niesłychanie potrzebnej, właściwie to wyczekiwanej od lat przez wszystkich, którzy nie zawodowo, ale amatorsko z zamilowaniem interesują się sztuką współczesną. Adam Kotula i Piotr Krakowski w interesującej formie opracowali niejako compendium wiedzy o dziejach znamiennego przewrotu w sztuce, dokonującym się od czasu pojawienia się pierwszych impresjonistycznych obrazów. „Kronika nowej sztuki 1855—1960” ma charakter poznawczy, orientacyjny we wcale nietatowej mapie „nowych kierunków, faktów, dzieł, twórców w okresie ponad stu ostatnich lat rozwoju sztuki”. Wszystko to rozbite na lata na domiar naniezione niejako na kanwę innych wydarzeń w polityce, nauce oraz dyscyplinach pokrewnych plastyce, jak literatura, teatr, film, muzyka. Takie ujęcie prowadzi często do wskazania niebagatelnego zależności spraw pozornie tylko od siebie oddległych. Książka bogata jest opatrzoną w indeksy, ozdobioną blisko dwustu ilustracjami, niestety, wyłącznie czarno-białymi.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

nikom — pierwszym jest reżyser, drugim może być autor. Dlatego właśnie tak wielu aktorów podejmuje się reżyserii, tak wielu gra w teatrach jednego aktora, rezygnując z pośredników i pomocników. Inaczej na ogół wygląda sprawa z autorem, który coraz częściej jest sojusznikiem aktora na zasadzie obopólnej niechęci wobec ingerencji tego trzeciego — reżysera. Bunt aktora, o którym mowa, nie będzie miał — zdaniem Fillera — trwałszych konsekwencji estetycznych. W końcu teatr jest sztuką kolektywu.

„Polityka” w cyklu „Obyśmy zdrowi byli” prezentuje wypowiedź ministra zdrowia i opieki społecznej Jerzego Sztachelskiego na temat problemów służby zdrowia i związanej z nimi dyskusji na łamach tego tygodnika. W tym samym wydaniu redaktor naczelny ostromskiego miesięcznika „Poludniowa Wielkopolska” Jerzy Kwieciński pisze o problemach gazet regionalnych w artykule „Konstelacja zupełnie nieznana”. Stefan Kozicki w reportażu z Wrocławia odnajduje w nauczycielach działaczy politycznych, wysoko cenionych przez komitety partyjne „Współczesność” poświęca dużą część bieżącego wydania materiałom odbytego niedawno w Lublinie Zjazdu Młodych Pisarzy. W „Kulturze” Krzysztof Mętrak krytycznie omawia poglądy Artura Sandauera pt. „Dla każdego coś przykre” (artykuł „Kultura zsandauryzowana”).

LEKTOR